

ALONSO CUETO

NIEBIESKA
GODZINA

PRZEKŁAD
KATARZYNA JACHIMSKA-MAŁKIEWICZ



WYDAWNICTWO WAM
KRAKÓW 2011

Tytuł oryginału
LA HORA AZUL

© Alonso Cueto, 2005

© Wydawnictwo WAM, 2011

Redakcja
Zofia Palowska

Współpraca
Dariusz Godoś

Projekt okładki
Andrzej Sochacki

Zdjęcie na okładce
Foto © Maciej Młynarczyk

Logo serii
Sebastian Stachowski

ISBN 978-83-7505-724-9

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-256 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Rozdział I

Na krótko zanim zaczęła się ta historia, moje zdjęcie pojawiło się w magazynie ilustrowanym „Cosas”, na stronach poświęconych życiu towarzyskiemu.

Duże, podłużne zdjęcie zajmowało całą szerokość strony. Widać na nim, jak z uśmiechem na twarzy patrzę prosto w obiektyw. Z głową lekko uniesioną do góry, ubrany w elegancki garnitur, z palcami dłoni opierającymi się lekko na ramieniu mojej pięknej żony Claudii. Wyglądam naprawdę świetnie. Trzeba przyznać, że tylko nieliczni umieją przybrać taką pozę, tak szczególnie połączyć spontaniczność i elegancję, za każdym razem, kiedy gdzieś w pobliżu pojawia się fotograf. Na zdjęciu mam porządnie zawiązany krawat, włosy w kunsztownym nieładzie, a na palcu serdecznym widnieje dobrze dopasowana obrączka – świadectwo piętnastu lat spokojnego pożycia małżeńskiego. U mojego boku stoi Claudia, a z drugiej strony mój wspólnik Eduardo z żoną Milagros... Wszyscy czworo spoglądamy w obiektyw, każde z nas zaopatrzone w szklaneczkę whisky, otuleni serdeczną arogancją własnych uśmiechów, jakby właśnie wręczono nam nagrodę dla najszcześniejszej pary wieczoru.

Pewnego dnia przy śniadaniu Claudia podsunęła mi magazyn z fotografią. Niedługo potem do biura zadzwoniła szwagierka. „Cudnie wyglądacie”, powiedziała. Tak, wszystko to było bardzo miłe, jednak wcale nie byłem zaskoczony, że nasze zdjęcie jest większe niż inne zdjęcia zamieszczone na tej samej stronie.

W owym czasie często pojawiałem się na forum publicznym i, tak mi się przynajmniej wydaje, zwykle robiłem dobre wrażenie. I jeżeli można się tak wyrazić, fakty z mojego życia mówiły same za siebie. Miałem czterdzieści dwa lata. Zараbiałem jakieś dziewięć tysięcy dolarów miesięcznie. Ważyłem osiemdziesiąt kilo, całkiem nieźle, jeżeli weźmie się pod uwagę, że mam metr osiemdziesiąt dwa wzrostu. Spędzałem godzinę dziennie na siłowni. Poza tym byłem współnikiem kancelarii adwokackiej liczącej jakąś setkę stałych, dobrych klientów. Miałem dużo pracy, ale dysponowałem też odpowiednim zespołem, który pomagał mi w biurze. Pamiętam, że w owym okresie któryś z przyjaciół powiedział mi oskarżycielskim tonem, że wyglądam na coraz bardziej zadowolonego.

Zawsze chciałem być adwokatem. Jeszcze w szkole napisałem wypracowanie pod tytułem *Prawo w codziennym życiu*. Jego przewodnią myślą było twierdzenie, że wszystkie więzi społeczne, nawet takie jak miłość czy przyjaźń, oparte są na pewnego rodzaju cichej umowie. Rodzice, dzieci, małżonkowie, zakochani, przyjaciele czy rodzeństwo – wszyscy dochodzą do wzajemnego porozumienia na temat swoich zachowań. Nawyki umacniają te porozumienia. Dlatego jeżeli ktoś zerwie umowę, jeżeli nagle zacznie się zachowywać inaczej niż do tej pory, sprzeniewierza się warunkom porozumienia, na jakim opiera się dany związek, zrywa zawartą umowę. Zasady prawa wywodzą się z relacji międzyludzkich. Albo przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. W dzieciństwie interesowałem się zresztą nie tylko prawem. Fantazjowałem też, że może kiedyś zostanę pisarzem. Mam nawet na koncie przygodowo-romantyczną powieść.

Od kilku tygodni myślę o tym swoim niespełnionym powołaniu pisarza.

Rozmyślałem na ten temat, gdyż nagle zapragnąłem opowiedzieć tę historię. Sam nie wiem dlaczego. Na szczęście

nie będę musiał patrzeć w oczy czytelnikowi, bowiem zatrudniłem pisarza, który nada książce swój cholerny styl i będzie ją firmował swoim własnym nazwiskiem.

W powieści będę się nazywał Adrián Ormache, choć zapewne niektórzy czytelnicy odgadną, kim jestem naprawdę. Rozpoznają mnie albo moją żonę Claudię. Moja żona Claudia. Dziwnie się czuję, tak o niej mówiąc. Jakby była jakąś całkiem obcą osobą. Jej falujące imię przywodziło mi zawsze na myśl zarys tęczy – przynajmniej tak się wyraziłem, kiedy przedstawiono mi ją na prywatce dwadzieścia lat temu. To był idiotyczny komplement, ale spodobał się jej.

W okresie, kiedy zaczyna się ta historia, Claudia była wzorową towarzyszką życia. Świetnie się ubierała, chodziła ze mną na koktajle i przyjaźniła się z żonami innych adwokatów.

Takiej żony ze świecą szukać, powtarzała mi teściowa. Dzięki swoim eleganckim kreacjom i nienagannym manierom Claudia zawsze robiła dobre wrażenie wśród naszych znajomych i przyjaciół. Organizowała w domu wytworne, przeciągające się do późna kolacje, na które przygotowywała stoły pełne półmisek z mięsem i wędlinami, sałatkami i deserami. Znani adwokaci, tacy jak Muñiz, del Prado czy Rodrigo, przesiadywali u nas do późna i żegnali się, obejmując nas poufale. Podobnie rzecz się miała z politykami. Odwiedzali nas Ferrero i Lourdes Flores, a kilka razy zawitał nawet Belaúnde. Przyjaźniliśmy się z nimi wszystkimi.

Cieszyło mnie, że moje córki mogą widywać ich w domu. Mamy dwie wspaniałe córki (to pierwsze określenie, jakie przychodzi mi na myśl, kiedy teraz o nich myślę).

Starsza, Alicja, studiuje teraz prawo na Uniwersytecie Katolickim. Szczęśliwie jest całkowicie przekonana co do swojego powołania. Będzie – jak ja – adwokatem. Jest inteligentną i ładną dziewczyną (i nie mówię o tym tylko dlatego, że jestem jej ojcem, proszę mnie źle nie zrozumieć).

Alicja jest jeszcze w wieku, kiedy człowiekowi wydaje się, że wie dosłownie wszystko, jednak w stosunku do starszych zachowuje się zawsze uprzejmie, a nawet czule. Jest, i nie wydaje mi się, żebym przesadzał, wybitnie inteligentna. Nasza młodsza córka, Lucía, jest przynajmniej tak samo inteligentna jak siostra. Lucía jest wrażliwą, obdarzoną marzycielską naturą dziewczynką, cierpi na różne naturalne lęki – boi się ciemności i pajaków. Ma bogatą wyobraźnię, a przy tym potrzebuje czułości, co w sumie sprawia, że czasami godzinami opowiada mi różne historyjki czy kawały. Z tymi swoimi zielonymi oczami, jedwabistymi włosami i wysmukłymi nogami jest jedną z najładniejszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek widziałem. Jej gadatliwość jest pewnie wynikiem tego, że jako młodsza z sióstr musiała zawsze bardzo się wysilać, żeby zwrócić na siebie uwagę trzech dorosłych osób w domu.

Lucía jest też wielką fanką muzyki gitarowej – zamyka się w pokoju z koleżankami i razem słuchają płyt Kurta Cobaina. Na trzynaste urodziny sprawiłem jej gitarę basową. Na szczęście instrument nie jest nazbyt głośny. Poza tym w naszym pięciusetmetrowym domu w San Isidro jest wystarczająco dużo miejsca, żeby każde z nas, nie wyłączając dwóch służących, mogło mieszkać w odpowiedniej odległości od boskich dźwięków strun gitary naszej córki.

Dawniej, kiedy Lucía nie była zajęta muzyką, była naprawdę świetnym kompanem. Opowiadała mi różne historyjki, mówiła o swoich kłopotach i o problemach koleżanek, dopominała się o pocałunki i pieszczoty. To jej przytulanie to jedno z moich najcenniejszych wspomnień. Bardzo tęsknię za owymi chwilami, gdyż po tym wszystkim, co się wydarzyło, mam wrażenie, że należą one do całkiem zamierchłej przeszłości. Moja córka przytulała się bowiem w owym czasie do kogoś zupełnie innego – do człowieka, który już na zawsze przestał istnieć.

Claudia, moja żona, odziedziczyła po swojej matce naturalny talent do zmieniania pieluch, odpowiadania na wszystkie możliwe pytania dziewczynek, obłaskawiania ich żalów i narzekań. Czytała książki na temat typowych zachowań dzieci na różnych etapach rozwojowych: od drugiego do siódmego, od jedenastego do trzynastego roku życia. Moja teściowa wychowała swoje córki w sposób wyważony i pełen miłości, wyprawiła je w świat zaopatrzone w połączenie silnego charakteru, świadomości tego, co dobre, a co złe, oraz niepozabawionej rozsądku miłości bliźniego. Teraz Claudia robiła to samo z Alicją i Lucią. Trzeba też przyznać, że jej osiągnięcia wychowawcze miały wsparcie w naszej uprzywilejowanej sytuacji finansowej. Można powiedzieć, że dzięki dobrym stosunkom z klientami w pracy szło mi całkiem nieźle. Poza tym teściowie są właścicielami fabryki i w ciągu długich lat pracy udało im się zgromadzić całkiem spory majątek. Na dodatek teść był zawsze niezwykle szczodry, jeżeli chodzi o zapraszanie nas na różne wakacyjne eskapady. Fundował nam pobyt w najbardziej luksusowych hotelach, otwierał mi kredyt w hotelowym barze, zasypywał dziewczynki prezentami. Jednym z jego ulubionych miejsc urlopowych są Karaiby, dzięki czemu zarówno Claudia, jak i ja po powrocie z zimowych wakacji zadawaliśmy szyku wspaniałą opalenizną.

Muszę przyznać, że rzadko próbowałem walczyć z przejawami własnej próżności. Cieszyłem się, że mam elegancko urządzonej dom, sympatyczną i czułą żonę, która na dodatek jest świetną gospodynią, byłem dumny z tego, że moje córki są dobrze wychowane i świetnie się uczą. Lubiłem dobrze się ubierać – wcale się tego nie wstydę. A jednak wszystko to, co tak lubiłem i co tak bardzo mnie cieszyło, czasem również... już w owym czasie (w owym okresie, który teraz wydaje mi się tak odległy...), chodzi mi o to, że już wtedy

czasem nachodził mnie jakiś smutek, jakaś ręka zaciskała się od czasu do czasu na moim gardle, utrudniając wszelkie ruchy, przeszkadzając w wykonywaniu nawet najbardziej elementarnych działań. Od porannego wstawania, czesania się i ubierania po wszystko inne: zdarzało się, że z wielkim trudem wkraczałem w nowy dzień, w odgłosy nowego dnia, z trudem zagłębiałem się w korytarz obowiązków, musiałem czynić coraz większe wysiłki, żeby się ubrać, ogolić, od nowa nakreślić swoją sylwetkę, postawić pierwszy krok, przeobrażony w eleganckiego dżentelmena.

Być może właśnie to uczucie ucisku na skórze i ten rozsia-ny wokół smutek były bezpośrednią przyczyną moich snów. Nie były to smutne sny, tylko raczej rozjaśnione intensywnym światłem sceny, w których wyładowywałem swoje pragnienie dokonania jakiegoś gwałtownego czynu. Oto typowy przykład takiego snu. Jestem nagi. Zdaję sobie sprawę, że znajduję się w domu teścia, że jestem na eleganckim wieczornym przyjęciu, na bankiecie. Teść patrzy na mnie, uśmiechając się. Duża grupa gości w krawatach częstuje się przy bufecie. Nagle zdaję sobie sprawę, że mam coś w ręce. To butelka keczupu. Otwieram ją i zaczynam polewać stół keczupem. Na białym obrusie pojawiają się czerwone plamy. Teść przestaje się uśmiechać, choć gości wyraźnie bawi to, co robię. Nagle uświadamiam sobie, że w ręce mam nie butelkę keczupu, lecz pistolet. Tak, pistolet. Robię więc to, co wydaje mi się najsensowniejsze w owej chwili – zaczynam strzelać. Strzelam po kolei do gości, którzy padają na ziemię wśród salw śmiechu. Na koniec strzelam sam sobie w skroń. Budzę się. Koniec snu.

Mimo swojej groteskowości cała ta historia była niewątpliwie zabawna.

Inny powtarzający się sen. Ku ucieście całej rodziny walę teścia w szczękę w jego własnym domu. Teść podnosi się, a ja walę go znowu. I tak w kółko.

Te ataki były jak błyskawice. Zdumiewały mnie, ale równocześnie sprawiały, że śmiałem się z samego siebie. Muszę jednak przyznać, że dawałem się ponieść towarzyszącym im obrazom z pewną dozą przyjemności.

Nie, chyba jednak przesadzam. To nie tak. W gruncie rzeczy byłem przecież zadowolony, że mam taką, a nie inną rodzinę, pracę, znajomych czy przyjaciół. Cieszyło mnie, że mam teścia, który ciągle zaprasza mnie na wakacje (często zresztą odmawiałem). Lubiłem siadywać u siebie w domu na tarasie, na wprost basenu. Byłem dumny i zadowolony, że mogę przyjmować tu przyjaciół. Nie miałem żadnego powodu, żeby robić cokolwiek z otaczającymi mnie grubymi murami. Moje życiowe sukcesy były jak środek nasenny. I zawsze już miało tak pozostać. Moje nienagannie skrojone garnitury były hołdem, jaki składałem sam sobie wobec świata. Mój spokojny głos o czystym brzmieniu nadawał delikatnego blasku prowadzonym przeze mnie rozmowom (tak wyraziła się kiedyś Claudia, z nutką podziwu w głosie).

Aż do chwili, kiedy wszystko nagle się zmieniło. Stało się to pewnego dnia rano, dokładnie w dniu, kiedy umarła moja matka. Śmierć matki okazała się wielkim zdarzeniem w moim życiu.

Matka długo chorowała, tak że kiedy ta chwila wreszcie nadeszła, od dłuższego czasu byłem już na nią przygotowany. A jednak wiadomość o jej śmierci pogрузzyła mnie w smutku, z którego już chyba nigdy nie uda mi się wyzwolić (w końcu komu udaje się wyzwolić z czegoś takiego?).

W dzień, kiedy Norma – pielęgniarka opiekująca się matką – zadzwoniła do mnie, żeby przekazać mi wiadomość o jej śmierci, jej kolejne słowa spadały na mnie niczym ciosy. Pani zemdląła, proszę pana, byłem akurat w kuchni, kiedy nagle usłyszałam jakiś hałas, pobiegłam do łazienki i znalazłam ją leżącą tam, na podłodze, ciągle tam jeszcze leży, a ja

zupełnie nie wiem, co mam teraz robić, właśnie przed chwilą skończyła myć ręce, ostatnio bez przerwy się myła.

Potem wiele razy wyobrażałem ją sobie samotną przed lustrem, przyglądającą się własnemu odbiciu – niebieski szlafrok, dumna sylwetka, wyprostowane ramiona – na moment przed osunięciem się na ziemię. Wydawało mi się, że słyszę odgłos jej upadającego ciała, najpierw głucho uderzenie, potem jeszcze opadające na podłogę ręce i szelest materiału, a potem już tylko cisza, aż do chwili, kiedy ją znaleziono.

Gdy tylko dotarłem do jej mieszkania, chciałem zobaczyć ją taką, jak w chwili odejścia: zwiewne ciało owinięte w szlafrok, nogi skrzyżowane na płytkach podłogi, rozchylone usta nadające twarzy wyraz zdumienia.

Szczotka do włosów wypadła jej z rąk i leżała teraz w kącie. Matka właśnie się czesała, jej ostatni gest był gestem kokieterii w stosunku do świata. Przeobraziła się więc od razu w atrakcyjną zmarłą, gotową do wystawienia na widok publiczny. Podniosłem ją, próbowałem do niej mówić, ale chociaż mam raczej niewielkie doświadczenie w kwestiach związanych ze śmiercią, zaraz zdałem sobie sprawę, że to, co niosę, to nie człowiek, tylko kawał bezwładnego ciała. Jej twarz była jak zaklęta. Zadzwoiłem po karetkę tylko dla formalności, w spontanicznym odruchu nadziei. Wydaje mi się, że ciągle jeszcze czuję dotyk tkaniny jej szlafrocka, resztki ciepła na jej skórze, żalobną bladość jej policzków. Choć upłynęło już kilka lat, ból nie ustępuje, nie znika też podziw, który czułem w stosunku do niej... Podziw, miłość, wdzięczność, jaką ją darzę, tak, może właśnie wdzięczność, tak to można nazwać... to wszystko ciągle jeszcze mi towarzyszy.

Matka umarła w strategicznie zaplanowanym pośpiechu, bez żadnych rytuałów czy pożegnań, bez uroczystych deklaracji lub spotkań rodzinnych. Testament spisała znacznie

wcześniej. Od czasu do czasu, bez dramatyzowania, po cichu, przekazywała mi różne polecenia.

„Z moich ubrań i butów możesz zatrzymać, co tylko będziesz chciał. Resztę oddamy do parafii Karmelitów w Sicuani¹. Zostawiam ci ten duży mahoniowy zegar. Możesz go zabrać, kiedy już będzie po wszystkim”.

Nigdy nie były to jakieś dramatyczne oświadczenia, raczej pojedyncze polecenia, które przekazywała mi, wsiadając do samochodu lub rozmawiając ze mną przez telefon, na moment przed pożegnaniem. Nie mów tak, powtarzałem jej w takich chwilach, zanim jeszcze zdążyła zmienić temat. Ale i tak było już po wszystkim, ona powiedziała mi już to, co miała zamiar powiedzieć. Zawsze robiła to z całkowitym spokojem.

Claudia poszła ze mną do szpitala, a potem do zakładu pogrzebowego. Pomogła mi zawiadomić krewnych i przyjaciół. Najważniejszą wśród nich osobą, choć również żyjącą w największym oddaleniu, był oczywiście mój brat Rubén, mieszkający od dawna w New Jersey w Stanach.

Tym sposobem, po latach, znów się zobaczyliśmy.

Mój brat Rubén. Owego dnia, czekając na niego na lotnisku, byłem jakby trochę rozkojarzony przez smutek czy przygnębienie. Rozkopana szosa prowadząca na lotnisko, zdenerwowani taksówkarze, żebracy na parkingu dopraszający się, żeby dać im auto do umycia...

Kiedy tylko Rubén wyszedł z kontroli celnej, podszedłem do niego, żeby go uściskać.

Przedwcześnie obwisły brzuch, lekko zarysowujący się już drugi podbródek, szeroko rozstawione, duże zęby. Wielki brzuch był pewnie częściowo efektem jego życiowych suk-

¹ Sicuani – miasteczko w peruwiańskich Andach, w okolicy Cuzco.

cesów w New Jersey. Po drodze z lotniska do kościoła Rubén zaczął głośno wspominać różne sceny związane z matką. Jego urywany, piskliwy głos przerywały od czasu do czasu wybuchy płaczu. Nie mogę o niej zapomnieć, nie mogę zapomnieć o mamie, rozumiesz, zdaje mi się, że jeszcze ciągle do mnie mówi, że ciągle jeszcze ją widzę. Te wszystkie wspomnienia kotłują mi się w głowie, rozumiesz? Przypomina mi się, jak upiekła mi tort z truskawkami i te truskawki układały się w napis „Rubén”, i jak złamałem nogę, a ona siedziała przy mnie, trzymając mnie za rękę, jak odbierała mnie ze szkoły i szliśmy razem na podwieczorek. Która matka robi coś takiego?

Siedzący obok mnie w aucie Rubén od czasu do czasu unosił ręce do góry i wybuchał płaczem.

Wreszcie dotarliśmy do kościoła Matki Boskiej Fatimskiej, gdzie miało się odbyć nabożeństwo żałobne. Zbliżywszy się do otwartej trumny, Rubén objął drewnianą obudowę, dotknął twarzy matki i zaczął płakać. Najpierw po prostu głośno płakał, potem jednak podniósł straszny lament. Niektórzy krewni podchodzili do niego, żeby poklepać go po plecach lub objąć i przytulić.

Przez cały wieczór wielokrotnie siadał lub stawał koło mnie, przyjmując wraz ze mną kondolencje. Następnego dnia siedł obok mnie w pierwszym rzędzie żałobnego orszaku. Od czasu do czasu ocierał łzy. Jako ostatni opuścił salę czuwania, a następnego dnia pojawił się tam pierwszy. Tymczasem ja przez cały wieczór recytowałem krewnym i znajomym tę samą litanię: dziękuję za pamięć, dziękuję, to wszystko stało się tak nagle, no tak, miała przecież raka, chociaż ostatecznie umarła na serce.

Claudia nie odstępowała mnie ani na chwilę, w pewnym momencie odprowadziła tylko do domu zapłakaną Lucię. Alicja była dzielniejsza. Ja oglądałem wszystkich, jakbym

patrzył gdzieś z daleka: przyjaciele, koledzy z pracy, grupki krewnych – rozmawiający, uśmiechający się, zadający pytania. Patrzyłem na nich przez mój ból, przez uprzejmie oddawane uściski, jak przez szybę z grubego szkła. W końcu rozmawiałem z tyloma ludźmi, że byłem cały obolały.

Wszystko odbyło się bardzo szybko: powolny przejazd na cmentarz, pożegnalne słowa księdza, opuszczanie trumny tonącej w kwiatach. Potem droga powrotna, jak w procesji. Tego dnia witałem się z tyloma osobami, których od lat nie widziałem... Wszyscy ci wujowie i kuzyni, przyjaciele, wszyscy ci ludzie, którzy przychodzą złożyć człowiekowi kondolencje. Nikt nie chce przegapić takiej okazji. Jakby chodziło o jakąś radosną uroczystość. Bohaterką dnia była matka, ale to mnie i mojemu bratu rzucano się w objęcia.

Rubén odziedziczył chropawy głos, prostackie ręce i kulfoniasty nos naszego ojca. W pewnym sensie był jego żywym odbiciem. Z czasem robił się do niego coraz bardziej podobny, jak gnom coraz bardziej przypominający ogra, który go spłodził. Twarz ojca, rekonstruowana zawsze z fragmentów zapamiętanych z naszych nielicznych spotkań: była jak kamienisty ugór, na którym trudno było nawet sobie wyobrazić delikatne palce mamy. Jakby rodzice przyszli do mnie z dwóch przeciwstawnych krańców świata. Z jednej strony nucone szeptem piosenki, którymi usypiała mnie matka, jej wysmukła sylwetka czekająca na mnie przy stole nakrytym do śniadania. Z drugiej zaś rechot ojca, jego szorstki głos, kanciaste i pozbawione owłosienia kłykiec palców.

Mój ojciec. W przeszłości robiłem wszystko co w mojej mocy, żeby wymazać z pamięci te nieliczne związane z nim wspomnienia.

Jego śmierć przyprawiła mnie tylko o bliżej niesprecyzowany przebłysk żalu, ból narzucony przez poczucie obowiąz-

ku. Dzień wcześniej odwiedziłem go w szpitalu wojskowym. Kiedy wszedłem do pokoju, stał oparty o pręty łóżka. Był nieogolony, miał na sobie poplamioną pidżamę i z zapalem rozprawiał o czymś z księdzem.

Tego dnia, kiedy zobaczył mnie stojącego w drzwiach pokoju, usiadł i rozpostarł ramiona. Synu, przyszedłeś, do cholery, własnym oczom nie wierzę, wreszcie się tu zjawiłeś. Chrapliwy głos ojca, jego urywane pokrzykiwania, brudne paski pidżamy, zaciśnięte powieki, wyciągnięte do góry ręce. A ja nie miałem pojęcia, co mu odpowiedzieć, mówił do mnie z rękami uniesionymi w górę, wiesz, ja tyle niedobrych rzeczy narobiłem, jak to możliwe, że nigdy więcej się nie spotkaliśmy, a teraz... mam ci tyle do powiedzenia, jak się mają dziewczynki?, dobrze?, tak, dobrze, słuchaj, synu, mam ci coś ważnego do powiedzenia, jeśli kiedykolwiek, to znaczy, chciałem powiedzieć, widziałeś się z Rubénem?, nie, już dawno go nie widziałem, ach, ale słuchaj, chcę ci coś ważnego powiedzieć, chodzi mi o pewną dziewczynę, o dziewczynę, którą poznałem dawno temu, nie wiem, czy będziesz ją w stanie odnaleźć, to było tam, postaraj się ją odszukać, może ci się uda, to było podczas wojny. W Huancie. Tam była taka jedna dziewczyna, to była dziewczyna stamtąd. Bardzo cię proszę, zrób to dla mnie. Zrób to dla mnie, zanim umrę.

Kiedy mówił mi właśnie coś w tym stylu, pojawiła się pielęgniarka z zastrzykiem, nie, proszę wyjść, nie widzi pani, że rozmawiam z synem, słuchaj, tam w Huancie była taka jedna kobieta, uspokój się, tato, no pozwól siostrze zrobić zastrzyk.

Potem opowiedziano mi, że owego wieczoru wyklócał się z pielęgniarkami, z lekarzem dyżurnym, niech tu przyjdzie mój syn Adrián, powtarzał, próbował wyrwać sobie kropłówkę, niech natychmiast tu przyjdzie, aż wreszcie nagle się uspokoił. Następnego dnia rano obudził się, poprosił o śnia-

danie, po czym nagle usiadł, skulił się w rogu łóżka i zastygł w tej pozycji. Po chwili już nie żył.

Podczas pogrzebu złożyliśmy z matką wiązanek kwiatów na jego grobie, porozmawialiśmy chwilę z kilkoma przyjaciółmi ojca i poszliśmy sobie. Byliśmy tam najwyżej godzinę. Poza tym zająłem się tylko częścią formalności związanych z pogrzebem, przyjmując od różnych ludzi niezbyt wylewne wyrazy współczucia.

Matka, po której odziedziczyłem idealizm, melancholię, wojujący optymizm oraz zamiłowanie do muzyki i literatury, popełniła w młodości grzech będący konsekwencją tych właśnie przymiotów. Padła ofiarą własnej naiwności, w pewnym sensie można nawet powiedzieć, że naiwność ta ją zdemoralizowała. Jej pierwszym i jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym było jej spotkanie z ojcem.

Matka była subtelną, delikatną dziewczyną o marzycielskiej naturze; odebrała staranne wykształcenie w szkole Belén i raptem, na jakiejś zabawie, poznała kadeta marynarki wojennej wystrojonego w ciemny mundur z odznakami. Ciotki opowiadały mi potem, że jego dworne zachowanie – cały ten mundur, przybrana dobrymi manierami brawura, butna wesołość – wszystko to sprawiło, że w głowie matki powstał jakiś miraż. Była zafascynowana. To strojny mundur młodocianego ojca stanął w drzwiach jej domu... To w ślad za tym mundurem mama wsiadła do chevroleta i wsłuchiwała się w opowiadania o manewrach w szkole marynarki... Cześć Beatriz..., podał jej dłoń, pomagając zejść po stopniach schodów..., jak pięknie wyglądasz, księżniczko..., dziś o szóstej rano musieliśmy wskoczyć do morza, a potem pływaliśmy przez bite dwie godziny..., co to za uczucie móc obserwować, co się dzieje tam na dole, cały ten morski świat żyjący własnym życiem; kiedyś muszę cię zabrać z sobą, żebyśmy mogli razem badać tajemnice morskiego dna.

Na nic się zdały wybuchy wściekłości dziadka ani smutek zrezygnowanej babki, Panie, świeć nad jej duszą. Matka postanowiła wyjść za tego oficera, który obiecywał jej pełne przygód życie, o jakim do tej pory nawet nie śniła.

Jedyną zasługą ojca było zorganizowanie całego tego teatru zalotów, który pozwolił mu ukryć, kim tak naprawdę jest... Robił to aż do chwili, kiedy się pobrali i matka przeprowadziła się do niego (jestem przekonany, że tego nie przewidziała, że nie przyszło jej nawet do głowy, że będzie musiała go oglądać śpiącego u jej boku czy budzącego się rano). Od tej chwili jak grom z jasnego nieba zaczęły na nią spadać kolejne nocne pijatyki, wyczekiwanie na niego do bladego świtu, krzyki...

Oddając honor swojemu dobremu wychowaniu, matka przeobraziła się więc we wzorową rozwódkę. Nie wyrażała się źle na temat byłego męża – po prostu w ogóle o nim nie mówiła. Nigdy nie dopuściła też do siebie żadnego innego mężczyzny (choć kręciło się wokół niej kilku zapalonych zalotników). Być może jej milczenie było przyznaniem się do głupoty, jaką okazała się jej dziewczęca naiwność. Kiedy podczas rozmowy ktoś wspominał coś na temat ojca, miała zawsze pod ręką odpowiednie słowa, coś w rodzaju „ciekawe, co u niego słyhać, mam nadzieję, że wszystko w porządku”. Kilka razy wysłała mu przez kuriera jakieś dokumenty.

Po rozwodzie matka oddała się ciałem i duszą celebrowaniu swojej samotności: godzinami słuchała muzyki poważnej w salonie, elegancko się ubierała, chodziła na pogaduszki z przyjaciółkami. Niemniej jednak pewnego dnia wyznała ciotce Florze, że były mąż to przekleństwo, od którego kobieta nigdy już nie będzie w stanie się wyzwolić. Już zawsze będzie się mówić, że kiedyś byłaś jego żoną. To nieuniknione, nie ma na to rady.

Ja również nie byłem w stanie się od niego wyzwolić. W czasach szkolnych widywaliśmy się od czasu do czasu, dużo rzadziej w okresie uniwersyteckim i zaledwie pięć czy sześć razy po powrocie ojca z Ayacucho, gdzie spędził kilka „kajmanów” (jak mi kiedyś wyjaśnił, w wojsku nazywano tak sezon spędzony na terenie objętym działaniami wojennymi).

Z czasem zacząłem się poddawać uczuciu ostrożnej i lekkiej pogardy, z jakim odnosiła się do niego matka. Jej dyskrekcja była przejawem elegancji, miała jednak również pewien praktyczny cel. Jak kiedyś wyjaśniła mi jedna z ciotek, matka uważała, że pozostanie przy nazwisku ojca mogło być dla nas korzystne. Ponieważ nie mogliśmy się go pozbyć, należało nadać mu splendoru naszym własnym zachowaniem, odpowiednio zabarwionym pewnego rodzaju zamierzoną naiwnością. Tylko jeden jedyny raz, w odpowiedzi na moje nalegania, matka opowiedziała mi trochę o ich wzajemnej relacji. Możesz mi wierzyć, że dopiero po separacji zdałam sobie sprawę, kim tak naprawdę jestem, powiedziała. Wcześniej, bo ja wiem, chyba byłam taka niewinna, że zdawało mi się, iż wszystko, co mi się w życiu przydarzy, będzie jakąś wielką przygodą, zupełnie nie wiem, jak mogłam być taka głupia. Natomiast teraz, kiedy już wiem, że zawsze będę sama, hmm, po prostu muszę to wszystko zaakceptować, mając jednak świadomość, że moja sytuacja ma też swoje dobre strony: przynajmniej mam was, mam ciebie, Rubéna, mam swoje prześlizczone wnuczki, mam przyjaciółki... Tak naprawdę bez przerwy jestem zajęta: klub książki, robótki dla biednych dzieci, muzyka i tak dalej. Moje życie, Adriánie, jest całkowicie wypełnione wami i dziewczynkami, gdyby jeszcze twój brat częściej do mnie pisywał..., byłoby absolutnie doskonałe..., no ale cóż, podejrzewam, że jest za bardzo zajęty i nie ma czasu na listy...

Od czasu do czasu snułem też w wyobraźni różne własne historie na temat ojca. Tak przyjemnie było czasem dać się ponieść fantazji i wyobrażać sobie, że jest dzielnym oficerem, bohaterem wojny ze Świetlistym Szlakiem², odważnym facetem, który bez wahania pojechał do Ayacucho, żeby stawić czoło bandzie zorganizowanych morderców. Któż inny byłby zdolny do czegoś takiego?

Nieraz w rozmowach z Alicją i Lucią wspominałem z szacunkiem, a nawet z pewną niesprecyzowaną nutą podziwu, o ich dziadku oficerze. Razem z Claudią doszliśmy bowiem do wniosku, że dzieci posiadające pozytywny model rodziny zawsze będą miały więcej solidnych punktów odniesienia w życiu. Oczywiście matka zgadzała się z nami całkowicie. Najważniejsze, żeby dziewczynki były przekonane, że stoją na pewnych nogach, że idą w życie zaopatrzone w narzędzia będące wynikiem tradycji rodzinnych oraz ich własnych wysiłków i dyscypliny, mówiła Claudia. A twój ojciec, jak każdy wojskowy, był człowiekiem zdyscyplinowanym i to bez wątpienia ma swoje znaczenie.

Przez długie lata żyłem w przekonaniu, że mój ojciec pojechał do Ayacucho, żeby walczyć z terrorystami ze Świetlistego Szlaku, że zrobił coś ważnego dla obrony naszej ojczyzny i że z tego powodu zasługiwał na szacunek.

² Świetlisty Szlak (hiszp. Sendero Luminoso) – komunistyczna organizacja terrorystyczna działająca w Peru od końca lat sześćdziesiątych. W 1992 roku schwymano jej przywódcę, Abimaéla Guzmána, i od tej pory działalność terrorystów znacznie osłabła. Okres najcięższych starć pomiędzy peruwiańskim wojskiem i terrorystami przypadł na lata osiemdziesiąte w rejonie Ayacucho. Obie strony dopuściły się podczas walk okrucieństw, od których ucierpiało wielu niewinnych wieśniaków. Powołana przez rząd Komisja Prawdy i Pojednania stwierdziła w swoim raporcie z 2003 roku, że w sumie zginęło prawie 70 000 osób, w tym mniej więcej jedna trzecia z rąk peruwiańskich sił zbrojnych, wśród których szczególnych bestialstw dopuściły się oddziały marynarki wojennej.

Kiedy byliśmy mali, nawet cieszyliśmy się na każde spotkanie z ojcem. Zawsze kiedy przychodził nas odwiedzić, zabierał nas do kina i na kurczaka z frytkami, doprawiając obiad seriami dobrych rad (w życiu trzeba ciężko pracować, lenistwo ma zgubne skutki) i pikantnych kawałów (co mówi jedno jajo do drugiego?).

Tak więc impertynencki i wesoły cień ojca unosił się czasem w powietrzu matczynej twierdzy, z której, zamknięty za szybami wielkich okien, oglądałem świat. Od małego żyłem wygodnie urządzony wśród solidnych ścian salonów tego pałacu. Matka nigdy go nie opuszczała, zamknięta w podcieniach wspierających go filarów moralności. Delikatna stanowczość, jaką okazała w pierwszych miesiącach po rozwodzie, zestaliła fundamenty tej budowli.

Sądząc po tym, co opowiadała ciotka Flora, droga przez małżeństwo była dla matki ciężkim przeżyciem. Wytrzymała z twoim ojcem dwa i pół roku. Przez cały ten czas przygotowywała mu codziennie śniadania i kolacje, chodziła z nim na spotkania ze znajomymi oficerami, z bolesną czułością zniosła oba porody i cierpliwie spełniała rutynowe obowiązki milczącej żony. Wszystko to zmieniło się nagle, kiedy twój ojciec po raz trzeci wrócił do domu o świcie. Następnego dnia w południe twoja matka stanęła przed nim w salonie i w dystyngowanych słowach powiedziała mu, że brzydzi się jego zachowaniem kobieciarza i hazardzisty, po czym uprzejmie go poinformowała, iż zostaje formalnie wyrzucony z domu i wykluczony z rodziny. On słuchał jej w osłupieniu. Tego samego popołudnia matka przyglądała się, jak ojciec opuszcza dom, udzielając mu dokładnych wskazówek co do zawartości walizki, którą sama spakowała. Niedługo potem zaczęła pracować u wuja Lucha.

Wszystkie te informacje pochodziły od ciotki Flory, która z pozycji wojującej starej panny obserwowała i przeżywała

nieszczęścia spadające na matkę, jakby chodziło o telewizyjny serial, w którym sama uczestniczy – jednocześnie jako uprzywilejowany widz, narratorka oraz jedna z drugoplanowych bohaterek.

Ciotka Flora poinformowała mnie, że decyzja, żeby skończyć w jakikolwiek sposób z tym małżeństwem, zaczęła dojrzewać w matce już kilka dni po ślubie (jestem przekonana, że już na samym początku zdała sobie sprawę, co się święci). Po bolesnym rozczarowaniu spowodowanym tym niespodziewanym odkryciem jej determinacja zaczęła rosnąć, podsycona niezręcznościami i ordynarnym zachowaniem „tego człowieka” przy stole i w towarzystwie (Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważyłam?, mówiła). Pod koniec trzeciego roku małżeństwa podjęła ostateczną decyzję. Obaj byliście jeszcze całkiem mali, kiedy twoja matka zadzwoniła do ojca, do apartamentu, w którym mieszkał od czasu, kiedy wyrzuciła go z domu, opowiadała ciotka Flora. Wysyłam ci papiery z wnioskiem o rozwód. Będziesz w domu koło siódmej? Co takiego? Ty niewdzięcznico, nie uwolnisz się tak łatwo ode mnie. Do sądu cię pozwę. Twoja matka odparła na to: Jak chcesz, możemy iść do sądu, ale wiesz, że w tym przypadku będziesz musiał mi płacić olbrzymie alimenty. A potem zaraz, jak gdyby nigdy nic, dodała tym swoim słodkim głosem: No to o siódmej zjawi się u ciebie posłaniec z papierami do podpisu. Lepiej, żebyś podpisał, Albercie. Posłuchaj mnie: tym razem dobrze wiem, co mówię. Nie rób z siebie chojraka. Naprawdę byłoby to głupie z twojej strony. Tak, dokładnie tak mu powiedziała.

Dzięki rozwodowi matka odzyskała rumieńce na twarzy i ze świeżym zapałem zaczęła się oddawać wychowywaniu mnie i Rubéna, robiąc godny użytek ze swojego życiowego dramatu. Pokazała całemu światu, że jest ponad to, co może się jej przydarzyć. Jej hart ducha był bezpośrednią

konsekwencją tragedii rozczarowania. Nie widywać go, nie słuchać, nie przejmować się, co się z nim dzieje, dobrze się ubierać, chodzić zawsze z głową dumnie uniesioną w górę i z uśmiechem na ustach, organizować spotkania z przyjaciółkami przy herbatce i muzyce – wszystko to miało być elegancką reakcją na poniesioną porażkę. Od początku starała się okryć tą elegancją, we wszystkich jej aspektach, również i nas. Radziła nam, żebyśmy zawsze starali się zachować spokój. Kiedy pojawi się jakiś problem, mówiła, należy umieścić go w jego konkretnym kontekście i zanim podejmie się jakąś decyzję, dokładnie rozważyć wszystkie możliwe rozwiązania. Miała też obsesję na punkcie ubioru. To, co człowiek na siebie wkłada, jest odbiciem jego duszy, powtarzała często. Jedną z niezłomnych decyzji, jakie matka podjęła, kiedy jeszcze byliśmy mali, było postanowienie, żeby zawsze nas elegancko ubierać. Często kupowała nam nowe spodnie, marynarki, koszule i krawaty w sklepie Harry's w dzielnicy Miraflores. Ja zawsze chętnie je nosiłem. Rubén jednak nigdy nie czuł się dobrze w tych ubraniach. Nigdy też nie czuł się swobodnie w wyłożonych jasnymi dywanami pokojach naszego domu. Przy pierwszej okazji wyjechał do Stanów. Od tego czasu kilka razy wracał, ale zawsze na krótko. I chociaż matka nigdy o tym nie mówiła, nigdy nie przestawała martwić się o niego.

Na szczęście podczas tych kilku dni, które Rubén spędził w Limie, nie rozmawiałem z nim na ten temat. Wydawało mi się, że dodatkowe obarczenie go cierpieniem matki było czymś, na co zupełnie sobie nie zasłużył.

Spis rozdziałów

Rozdział I	—	str. 7
Rozdział II	—	str. 26
Rozdział III	—	str. 43
Rozdział IV	—	str. 52
Rozdział V	—	str. 57
Rozdział VI	—	str. 77
Rozdział VII	—	str. 90
Rozdział VIII	—	str. 95
Rozdział IX	—	str. 116
Rozdział X	—	str. 135
Rozdział XI	—	str. 144
Rozdział XII	—	str. 162
Rozdział XIII	—	str. 174
Rozdział XIV	—	str. 191
Rozdział XV	—	str. 208
Rozdział XVI	—	str. 219
Rozdział XVII	—	str. 228
Rozdział XVIII	—	str. 243
Rozdział XIX	—	str. 258
Rozdział XX	—	str. 279
Rozdział XXI	—	str. 297
Rozdział XXII	—	str. 308
Rozdział XXIII	—	str. 314
Rozdział XXIV	—	str. 323